

TEMATY TYGODNIA

- 10** Tomasz Zalewski
Wojna o szefa CIA
- 12** Juliusz Ćwieluch
Życie pod ostrzałem tabloidów
- 15** Dariusz Koźlenko
Nowe polskie obyczaje plażowe
- 18** Marcin Rotkiewicz
Wirusy dobre i złe

POLITYKA

- 21** Cezary Michalski
Gowin mięsożerca

SPOŁECZEŃSTWO

- 24** Joanna Drosio-Czaplińska
Dzieci przelansowane
- 28** Piotr Pytlakowski
Pokrzywdzona kadrowa z IPN
- 30** Violetta Krasnowska
Płynął jachtem, skazali go za przemyt
- 32** Barbara Pietkiewicz
Zrobiła to samo co matka Madzi...

RYNEK

- 36** Joanna Solska
Na czym zarabiają blogerzy
- 38** Cezary Kowanda
4you: dokąd doleci nowa polska linia?

ŚWIAT

- 40** Artur Domosławski
**ARGENTYNA
Ikony z kraju peryferii**
- 43** Aleksandra Lipczak
**HISZPANIA Katalonia:
ojciec oszust**
- 46** Łukasz Wójcik
**TURCJA
Czy to jeszcze demokracja?**

HISTORIA

- 48** Anna Machcewicz
Sierpień '80: kogo władza prosiła o pomoc
- 51** Maciej Zakrocki
Kto podpalił bibliotekę w Louvain
- 54** Lech Trzcionkowski
Jak Cezar August wynalazł propagandę

NAUKA

- 56** Karol Jałochowski
Nowa intrygująca koncepcja Wszechświata

PORADNIK

BIEGACZA 45+

- 60** Biegać bez wstydu, biegać zdrowo

W NUMERZE

POLITYKA 34/20.08–26.08.2014



24 Coraz młodsze lolitki



18 Ebola i tajemnice wirusów



46 Erdoğan – silniejszy Orban



ZDROWIE



**PORADNIK
BIEGACZA 45+
czytaj na str. 60**

PÓŁPRZEWODNIK POLITYKI

- 66** Ziemowit Szczerek
Niezwykłe Poprusie

KULTURA

- 74** Bartek Chaciński
BOKKA i inni anonimowi artyści
- 78** Rozmowa z muzykiem
Januszem Prusinskim
o Kolbergu, transie w oberkach i o tym, co mazurki łączy z jazzem
- 82** Janusz Wróblewski
„Boyhood” – szalony film o dojrzewaniu
- 84** KAWIARNIA LITERACKA
Małgorzata Rejmer
- 85** MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

LUDZIE I STYLE

- 86** Anna Olej-Kobus
Świat zamyka delfinaria, my otwieramy
- 91** Janusz Wróblewski
Robin Williams: smutek komika
- 94** Piotr Adamczewski
**ZA STOŁEM Przymaki
Polski przydrożnej**

NA WŁASNE OCZY

- 100** Marta Mazuś, fotografie
Leszek Zych
Sklepowa kolejka w wersji 3D

STAŁE RUBRYKI

- **4** Mleczko i Mizerski
- **6** Ludzie i wydarzenia • **70** Afisz
- **95** Passent • **96** Hartman
- **97** Tym • **98** Fusy, plusy i minusy
- **106** Polityka i obyczaje



sławomir mizerski z życia sfer

Igranie ze słowem

Zdarza się, że pewne istniejące w języku słowa stają się niepotrzebne lub szkodliwe i z tego powodu są z niego eliminowane. Niedawno Szwedzi postanowili pozbyć się ze swojego języka prawniczego słowa „rasa”. Uznali, że budzi złe skojarzenia i emocje, w dodatku jest przestarzałe i dawno temu zostało zdyskredytowane, dlatego należy je zastąpić bardziej neutralnymi wyrażeniami. Wiadomo, że i w języku polskim są słowa, które ze względu na niezdrowe emocje, jakie budzą, dobrze byłoby usunąć nie tylko z ustawodawstwa, ale i z języka publicznej debaty. Mówi się, że kontrowersyjnym słowem jest np. słowo „żyd”, które brzmi niepolsko i posiada charakter jętrzący. Wiele osób zapewnia, że osobiście nie ma nic przeciwko temu słowu, ale

nawet te osoby przyznają, że antagonizuje ono Polaków, niezdrowo podnosi temperaturę dyskusji, nie sprzyja racjonalnej wymianie poglądów, a jego użycie w debacie bywa objawem utraty rozumu. Oczywiście szansa na to, że „żyd” zniknie z języka debaty, jest niewielka, bo zdaniem prawdziwych Polaków po wyeliminowaniu tego słowa Polak z Polakiem nie będzie miał o czym rozmawiać i jakakolwiek debata straci sens. Są zresztą podejrzenia, że właśnie o to chodzi Żydom domagającym się wycofania słowa „żyd” z języka, co oczywiście powinno być mocnym argumentem na rzecz tego, aby tego słowa nie wycofywać. Można się co najwyżej zastanowić nad wycofaniem słowa „żydy”, którego i tak używają wyłącznie osoby prymitywne, niewykształcone, przepełnione nienawiścią do wszystkich i wszystkiego. **W**niektórych środowiskach panuje opinia, że poziom publicznej debaty obniżają słowa „Bóg” oraz „Jezus Chrystus”.

Publiczne wyskakiwanie z takimi słowami przy każdej okazji i tłumaczenie wszelkich zjawisk za ich pomocą uważa się za irytujące, nieracjonalne, a nawet obrażające inteligencję. Szczególny niesmak budzą występujący w radiu i telewizji politycy i publicyści, agresywnie wrzucający tego rodzaju słowa do prawie każdego zdania wypowiedzianego na dowolny temat. **W**spomniani politycy i publicyści dają do zrozumienia, że nie musieliby tak często publicznie wypowiadać słów „Bóg” i „Jezus Chrystus”, gdyby z publicznej debaty zniknęły brzydkie słowa, takie jak „gender”, „prezerwatywa”, „aborcja” czy „Owsiak”. Przychylają się oni do opinii biskupów, że w narodowej debacie najważniejszym i rozstrzygającym słowem powinno być słowo boże. Ale wielu Polaków marzy o tym, żeby oprócz powtarzanego w kółko słowa bożego od czasu do czasu z ust biskupów można było usłyszeć także jakieś dobre i przyjazne słowo.

Dwutygodnik **FORUM** – najciekawsze historie świata



SIŁA STRACHU
Kto rządzi Izraelem



TAJEMNICA GENEZARET
Kosmici byli przed Chrystusem?



OSTATNI NAWAHOWIE
Indianie na uranie

nowe FORUM
NAJciekawsze historie świata

nr 17 13 - 28.08.2014
Cena 10,00 zł w sprzedaży

- CELEBRYTY PROROKA
Media pieszczą słamiotów
- ŚWIĘTA ZIEMIA RADYKAŁÓW
Kto rządzi Izraelem
- BIOSFERY I NOSTALGIA
Kryzys, jest - czy być cool?
- BRAT AKIMETOW
Oligarcha w niełasce
- PARTIA, MAFIA, SEKTA
Słowa z Pakistanu
- NIEMOŹNICA GUINNESSA
Najwyżsi żyją krócej
- ZŁOBIEK DLA SŁONIA
Allegory, Trójkątowego
- KID NAWARÓW
Indyjska na scenie
- APACHE, GIBBERIS!
Fitness Blog
- MASAKRA LAST MINUTE
Turystyka wojenna
- CIEĆ NA DZIECI
Detektyw zamiast swatki
- FUTBOL W HOCZABIE
Katarska liga kobiet
- UMOCNIĆ MOTYLKA
Cienie strasy skautingu

DROGA ŚWIĘTEGO JAKUBA
Wielka tajemnica, wielki biznes

SKAZANA
ZA WIARĘ
Poród
w celi
śmierci

EPIDEMIA PANIKI
Enola idzie na Zachód



WSZYSTKO SŁONIOWE OPRÓCZ RODZINY
Adoptuj sierotę!

Najnowszy numer **JUŻ W SPRZEDAŻY**

Kup książkę

Kongresy bez kiesy



Piotr Sarzyński

W poprzedniej POLITYCE pisaliśmy o turbulencjach podczas lotu Wrocławia ku Europejskiej Stolicy Kultury 2016. Okazuje się, że sytuacja jest dynamiczna. Przede wszystkim wiele wskazuje na to, że nowa minister kultury i dziedzictwa narodowego prof. Małgorzata Omilanowska nie będzie kontrasygnować hojności swego poprzednika, który zadeklarował z resortowego budżetu ponad 200 mln zł na festiwalowe imprezy. I słusznie, bo przeglądając kosztorysy sporządzone przez organizatorów ESK, trudno oprzeć się wrażeniu, że sporządzono je według zasady „zażądamy dużo więcej, może się uda”. Raczej się nie uda, bo ministerstwo postanowiło dokładnie przyrzeć się wyliczeniom, ale też merytorycznej zawartości proponowanych imprez. Według nieoficjalnych źródeł kwota może się zmniejszyć nawet o połowę.

Organizatorzy ESK pospieszili więc z deklaracją, że i program trzeba będzie zredukować. I w ramach oszczędności postanowili wyciąć dwie imprezy: Kongres Futurologiczny oraz Europejski Kongres Mediów. Zabawne, bo były to jedne z nielicznych zaplanowanych przedsięwzięć, które niosły w sobie intelektualny potencjał wykraczający poza rozrywkę dla mas i standardowe prezentowanie twórczości; skierowane na głębszy dyskurs, refleksję nad współczesną kulturą i jej przyszłością. Z planowanym udziałem wielu znanych gości z zagranicy. Nad imprezą medialną pracował już od jakiegoś czasu zespół złożony z najbardziej wpływowych przedstawicieli polskich mediów, z Adamem Michnikiem, Juliuszem Braunem, Edwardem Miszczakiem, Janem Dworakiem, Jerzym Baczyńskim, ale też Agnieszką Holland czy prof. Michałem Kleiberem. Skąd więc taka decyzja? Być może z niewiary, że na te przedsięwzięcia uda się z resortu wydobyć pieniądze. Choć trzeba zaznaczyć, że nie były to kwoty oszałamiające. Kongres Mediów miał kosztować 3,5 mln zł, co przy 20 mln planowanych na organizację ulicznych festi jest sumą wręcz skromną.

Amoże stąd, że obie imprezy miały być organizowane przez podmioty pozawrocławskie (KF – przez Kraków, EKM – przez Narodowy Instytut Audiowizualny w Warszawie). Wybór, kogo dofinansować – swoich czy obcych – spycha zwykle merytoryczne argumenty na dalszy plan.



Głos Hosera

Do niedawna nieznany, w ciągu czterech miesięcy stał się głosem konserwatywnej części polskiego Kościoła i jego ekspertem w sprawach światopoglądowych. Rzecznik kurii warszawsko-praskiej **Mateusz Dzie duszycki** gości w mediach nie tylko przy okazji kolejnych kontrowersji wokół ks. Lemańskiego. Ostatnio wyszedł poza rolę, m.in. broniąc praw „dzieci nienarodzonych”, wypowiadając się w sprawie deklaracji wiary lekarzy czy na temat homoseksualizmu. Co wiadomo o specjalistcie od kontaktów z mediami, któremu zaufał abp Henryk Hoser?

Dzie duszycki ma 48 lat, pochodzi z arystokratycznej rodziny (jego dziadek Stanisław nosił tytuł hrabiowski). Z żoną Melanią – także związaną z branżą medialną – i dwiema córkami mieszka w Podkowie Leśnej. Z wykształcenia jest dziennikarzem (skończył studia na Uniwersytecie Warszawskim). Przez trzy lata studiował na Wydziale Operatorskim Łódzkiej Filmówki, ale nie dokończył studiów. Wybrał karierę telewizyjną. Na Woronicza trafił w 1993 r., wraz z prawniczym zaciągami, który wszedł do TVP z ówczesnym prezesem Wiesławem Walendziakiem, tworząc środowisko tzw. pampersów. Gdy jego koledzy, późniejsi „niepokorni dziennikarze”, jak Piotr Semka czy Jan Pospieszalski, odeszli po przejęciu telewizji przez koalicję SLD-PSL, on dotrwał aż do rządów PiS. Był producentem i reżyserem wielu programów, dziś ich nazwy niewiele mówią. Przez krótki czas pracował jako reporter „Wiadomości”. Z Woronicza odszedł w 2011 r., gdy PiS stracił tam wpływy. – *Na decyzji zaważyła stopniowa degradacja firmy i kolejne, nieudane próby jej odratowania. Czulem, że nie mógłbym zrobić w tym miejscu nic więcej* – mówi POLITYCE. Po rozstaniu z TVP Mateusz Dzie duszycki zaangażował się w biznes medialny – został prezesem spółki Amicus Media – firmy zajmującej się m.in. produkcją telewizyjną, założył również internetową telewizję katolicką Razem.tv.

Propozycję od abp. Hosera przyjął od razu, choć wydawała mu się „kompletnie abstrakcyjna” – osoba świecka na stanowisku kurialnego rzecznika to w polskim Kościele zjawisko rzadsze niż wizyta papieża. – *Kościół znajduje się obecnie w szczególnym położeniu – twierdzi. – Stawiane są mu wysokie wymagania, na nim skupia się uwaga, a zwłaszcza na centrum, gdzie jak w soczewce oka znajdują się Warszawa i diecezja warszawsko-praska ze swoim pasterzem. W sytuacjach konfliktowych to duży ciężar odpowiedzialności. Warszawa jest twarzą polskiego Kościoła.* Za tę pracę Dzie duszycki nie otrzymuje wynagrodzenia. Głównym źródłem jego dochodów jest prezesowanie Amicus Media, która od kwietnia obsługuje medialnie kurię warszawsko-praską. Rzecznikiem jest ledwie od czterech miesięcy, ale pracę dla abp. Hosera uważa za najważniejszą z dotychczas pełnionych funkcji. – *Zgadamy się we wszystkich istotnych kwestiach* – podkreśla.

AGATA SZCZERBIAK

Trójmiasto, razem czy osobno?



Gdańsk, Sopot, Gdynia – zwane często Trójmiastem. Czy to określenie ma jednak jakikolwiek sens, czy ktoś spotkał kiedyś „trójmieszczaniną”, który by mówił, że mieszka w Trójmieście? Choć te miasta tworzą wspólną aglomerację, nie tworzą wspólnego organizmu. Burzliwa, trudna historia jest podstawą odrębnych tożsamości, odkrywanych i wymyślanych na nowo, które nierzadko są przedmiotem gorących

sporów i debat. To one w dużej mierze kształtują specyficzne energie tych miast rozpychających się, by zająć jak najlepsze miejsce w historii, kulturze, gospodarce, polityce. Już za tydzień w cyklu „Portrety miast polskich” przedstawiamy Gdańsk, Sopot i Gdynię. Zapraszamy także do bloga portretymiastr.blog.polityka.pl.

Sukces za sukcesem

Defilada 15 sierpnia tak się podobala warszawiakom, że tysiące ludzi prawie oblegało Belweder długo po tym, jak przed pomnikiem Piłsudskiego przejechały ostatnie historyczne pojazdy, a prezydentka para wzniosła cydrem toast z okazji święta Wojska Polskiego. Goście opuszczali Belweder z torbami jabłek. Bronisław Komorowski starał się więc podtrzymać przygasającą akcję jedzenia tych owoców, jeśli już nie „na złość Putinowi”, to przynajmniej w ramach pomocy polskim sadownikom. Niestety, chyba tych jabłek nie przejemy, więc jednak wypada liczyć koszty sankcji i docenić wysiłki ministra Sawickiego w Brukseli o rekompensaty ze strony Unii Europejskiej. A te przynioszą pewne efekty, co można uznać za sukces Sawickiego, gdyż w sierpniu cała Europa rusza na urlopy, a więc i część Komisji Europejskiej. Ten zwyczaj tylko trochę zmieniła sytuacja na Ukrainie.

To że minister rolnictwa jakieś sukcesy odnosi, można poznać i po tym, że PiS już zapowiedziało wobec niego wniosek o wotum nieufności. Przecież nie zajmowałby się ministrem, który nie jest na pierwszej linii frontu. Sawicki jest, a więc trzeba udowodnić, że jest do niczego. To słuszną opozycyjną taktyka, zwłaszcza że w PiS nie ma nikogo (a przynajmniej nikt taki się dotychczas nie pokazał), kto byłby na tym stanowisku lepszy. Partia szykująca się do objęcia władzy musi wcześniej zacząć dbać o tło, na jakim pojawiają się jej ludzie. Czasem dbałość o tło przybiera wymiary, których trudno nie uznać za absurdalne, co jest określeniem wyjątkowo łagodnym.

Wiadomo, że premier zgłosił Radostawa Sikorskiego na szefa unijnej dyplomacji i rzecz się ma rozstrzygnąć do końca sierpnia. Czyż jest lepszy czas, by posel Waszczykowski, którego szczerza nienawidzić do Sikorskiego bije w oczy, poinformował, że szef MSZ jest najgorzej wykształconym ministrem spraw zagranicznych i coś, co nie jest żadnym dyplomem, kupił sobie na Oksfordzie za 10 funtów? Wzburzyło to studentów, młodych oksfordczyków, którzy uznali, że posel Waszczykowski ponieważ ich wykształceniem i obniża życiowe szanse. Zażądali nawet, aby przeprosił, ale czyż może się zdarzyć, aby ktoś z PiS za coś przeprosił? Nawet sądowe nakazy są bojkotowane, a więc co tam grupa 200 studentów Oksfordu. Wiadomo, że nikt lepiej Polakowi nie zaszkodzi niż inny Polak. Sytuacja jest więc w polskiej normie.



Ostatnie dni należały niewątpliwie do prezydenta Bronisława Komorowskiego, który wkroczył w ostatni rok swej pierwszej kadencji. I było to wejście ze wszech miar udane. Prezydent na Rynku w Krakowie śpiewał z tysiącami zebranych legionowe piosenki, żegnał na Olean-drach maszerujących szlakiem Pierwszej Kadrowej w setną rocznicę jej wymarszu, a na zaczepki w rodzaju tradycyjnych okrzyków „KGB – WSI” odpowiadał humorem zacerpniętym ze Szwajk. Lewatywa jako sposób na powitanie się z rozumem stała się nawet medialnym szlagierem. Wojskowa defilada była przedsięwzięciem udanym, choć trudno ją uznać za „prężenie muskułów”. Zdecydowanie bardziej przeżyli muskuły w medialnych wystąpieniach emerytowani wojskowi, których cały oddział, z generałami Skrzypczakiem i Polko na czele, straszył wizją III wojny światowej. Dywagacje dyżurnego komanda komentatorów przerwał w końcu gen. Koziej, który najpierw też straszył, ale w końcu doszedł do wniosku i oznajmił to publicznie, że jednak nie wyobraża sobie III wojny. Odetchnęliśmy z ulgą, bo szef BBN to nie to samo co emeryci popisujący się przed kamerami. Prezydent też nie straszył, choć był zdecydowany w ocenach zachowania Rosji. Warto jednak zauważyć, że w tym bojowym nastroju zapewne bez problemów będą przechodzić propozycje zwiększania wydatków na zbrojenia, choć Polska wydaje i tak więcej niż inne kraje europejskie. Oby zatrzymały się one na tych 2 proc. PKB, które już wydają się przesądzone.

Ochody naszego udziału w pierwszej wojnie światowej czy dnia Wojska Polskiego udało się Bronisławowi Komorowskiemu wpisać w ciąg wydarzeń politycznych związanych z 25-leciem odzyskania suwerenności. Od 4 czerwca prezydent konsekwentnie buduje nastrój święta wolności, przypominając także wydarzenia, które dotychczas umykały uwadze opinii publicznej, a dla polityków bywały niewygodne. Oto po raz pierwszy po 25 latach uroczyste, z udziałem Lecha Wałęsy i innych aktorów tamtych zdarzeń, odnotowano dzień zawiązania w Sejmie kontraktowym koalicji Solidarności, Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Demokratycznego, co umożliwiło utworzenie rządu Czesławowi Kiszczakowi. Bez tej koalicji losy polskiej demokracji mogłyby się potoczyć zupełnie inaczej – mówił prezydent. To była pierwsza koalicja z prawdziwego zdarzenia w Sejmie pochodzącym przecież z wyborów tylko częściowo wolnych. Tym

wiekszy sukces polskiej polityki. Szkoda, że zapomina o nim Jarosław Kaczyński, jeden z głównych konstruktorów tamtego wydarzenia. To był przecież jeden z jego największych sukcesów. Zdarzył się on jednak w czasach, kiedy określenie „kompromis” w polityce nie było jeszcze obelgą, lecz wartością.

Dziś kompromis Januszowi Palikotowi proponuje Leszek Miller. Sojusz przedstawił najbardziej ponoć szczerą ofertę tym, którzy znaleźli się w kłopotach. Szczerość polega na wyrzeczeniu się szyldu partyjnego w zamian za jakieś miejsca na listach wyborczych do sejmików. Ile tych miejsc miałby dostać Twój Ruch Palikota, nie wiadomo, bo aspirujących do owej połowy miejsc, jakie SLD chce odstąpić, jest kilkadziesiąt podmiotów, z których większość jest zupełnie nieznana i nie bardzo wiadomo, czy w ogóle istnieje. Koalicja ma się nazywać SLD – Lewica Razem. Miller wymyślił więc (lub został przez swoich współpracowników do tego zmuszony) sposób na zupełne zneutralizowanie Palikota i ostateczne wyeliminowanie go jako w miarę samodzielnego podmiotu politycznego. Jeśli raz Palikot zapisze się do Lewicy Razem, to jakby go już nie było. No, ale podobno „ucieranie” kompromisów wymaga czasu. Tak więc Palikot mówi: zgoda, ale niech będzie koalicja SLD – Twój Ruch – Lewica Razem i te miejsca dzielimy równo, na trzy części. Co jest sporą przesadą, bo logo Twojego Ruchu nie jest dziś w cenie, ale jeśli zniknie, po tylu wcześniejszych zmianach, powrotu do samodzielności już nie będzie. Palikot broni więc dziś ostatniego okopu. Miller być może traci szansę, aby pozostawić po sobie znaczący polityczny spadek, czyli nową lewicową formację. Tyle że wybory samorządowe to nie jest najlepsza okazja do takich działań, zdecydowanie lepszy czas przyjdzie potem, gdy zaczną się przygotowania do wyborów parlamentarnych.

Jan Koza





© EPA/PAP

Krzyż na lotosie

Spełniło się marzenie papieża Franciszka. Po skończeniu seminarium duchownego Jorge Bergoglio chciał wyjechać na misję do Azji. Teraz, jako głowa Kościoła rzymskokatolickiego, odwiedził Koreę Południową. Azjatyckie plany Franciszka obejmują jeszcze Sri Lankę i Filipiny (najbardziej katolicki kraj azjatycki), a może nawet Japonię. O ile w Azji katolicyzm nie jest liczebnie silny (ok. 3 proc. całej populacji), o tyle w buddyjskiej kulturowo Korei święci sukcesy. Kiedyś w mikroskopijnej mniejszości, dziś skupia ok. 10 proc. społeczeństwa. Ma to też związek z opowiedzeniem się Kościoła po stronie demokracji za czasów wojskowej dyktatury. Na razie jednak znaczną przewagę mają w Korei protestanci różnych konfessji, stanowiący 19 proc. społeczeństwa. Kościół katolicki miał w Korei od XVII w. wyznawców i męczenników. Męczenników, prócz Franciszka, kanonizowali papieże Pius XI, Paweł VI i Jan Paweł II. Papież Wojtyła pielgrzymował do Korei Płd. dwa razy i dwa razy Chiny odmówiły zgody na przelot papieskiego samolotu przez swoją przestrzeń powietrzną. Franciszkowi teraz nie odmówiły (znak odwilży?). Szczególnie mocno zabrzmiało w podzielonej od ponad 60 lat Korei i coraz bogatszej, ale niespokojnej Azji, papieskie przesłanie pokoju i nadziei podczas mszy w Seulu. Na cześć Franciszka wiwatowała **młodzież katolicka z ponad 20 krajów azjatyckich** (Korea Północna nie przyjęła zaproszenia). Ale w samej Korei Płd. najmłodsze pokolenie generalnie nie garnie się do żadnej religii.

Metoda Putina

komentarz



Jagienka Wilczak

Podczas spotkania w Berlinie ministrom spraw zagranicznych Ukrainy, Rosji, Niemiec i Francji nie udało się zbliżyć do jakiegokolwiek rozwiązania ukraińskiego konfliktu. Władimir Putin nieraz zapewniał o swej dobrej woli, a kończyło się kolejną dostawą ciężkiego sprzętu i wyrzutni raketowych dla separatystów. Takie balansowanie na krawędzi może się skończyć katastrofą. Kreml już dziś traci panowanie nad działaniami separatystów we wschodniej Ukrainie, a w okrążonym Doniecku i Ługańsku nadchodzi czas najgorętszych walk. Tymczasem polityków od Brukseli po Waszyngton przez tydzień trzymał w napięciu sznur 280 białych kamazów sunących z Moskwy ku ukraińskiej granicy. Ten serial telewizyjny nie był przypadkowy, jak nic nie jest w grze prowadzonej przez Moskwę. Był przeznaczony na użytek wewnętrzny, dla Rosjan: oto spieszymy z pomocą dla braci zagrożonych katastrofą humanitarną wywołaną przez rząd w Kijowie. Odpowiednią dawkę propagandy przeznaczono także dla Ukraińców. Ługańsk i Donieck rzeczywiście potrzebują pomocy, walki z separatystami dezorganizują życie, brakuje żywności, wody, nie ma prądu, nie działają telefony, kolej, lotniska. Ludzie zapamiętają wyciągniętą dłoń z Moskwy. Zwłaszcza że Kijów tradycyjnie spóźnia się ze wsparciem. Żeby bałagan był większy, żadne procedury nie zostały zachowane, konwój nie miał zgody na wjazd na terytorium Ukrainy, również Komitet Czerwonego Krzyża w Genewie ani jego agenda w Kijowie nie wiedziały o transporcie, nie autoryzowały działań Rosji. A zachowanie Rosjan mogło sugerować, że konwój służy do zaostrzenia konfliktu. **K**ijów znalazł się w trudnym położeniu i pewnie dlatego nie mówił jednym głosem. Premier Arsenij Jaceniuk nazwał postępowanie Rosjan cynicznym, bo gdyby nie uzbili separatystów, nie wspierali ich finansowo, pomoc humanitarna nie byłaby potrzebna. Tymczasem z biura prezydenta Petro Poroszenki napłynęły informacje, że wprawdzie zgody na wjazd konwoju nie ma, ale Ukraina przyjmie międzynarodową pomoc. Może w niej uczestniczyć także Rosja, pod warunkiem, że spełni wymagania. W trakcie odprawy, po rosyjskiej

stronie, okazało się, że ciężarówki są w połowie puste. Nikt nie potrafił powiedzieć dlaczego. Być może w drodze powrotnej zabrałyby trumny rosyjskich najemników, bo z frontu słychać doniesienia o coraz bardziej zaciętych walkach.

Awantura wokół konwoju zbiegła się z wizytą Władimira Putina na Krymie. Spodziewano się zwrotu akcji, może nawet decyzji o wkroczeniu na Ukrainę, już otwarcie, bez kamuflażu. Przecież nie przypadkiem – spekulowano – Putin wezwał tam całą rosyjską Dumę Państwową. Tymczasem jego przemówienie okazało się całkiem banalne. Czy w ostatniej chwili zmienił zdanie, widząc, że ciężarówkom nie udało się pokonać granicy, że zaoponowały Unia, Waszyngton oraz NATO? Czy była to raczej kolejna próba siania zamętu, charakterystyczna ten nowy typ niewypowiedzianej wojny, toczzonej przez byłego szefa KGB metodami stosowanymi przez tę formację? Tymczasem z ukraińskiej granicy nadeszły kolejne groźne informacje, miały ją przekroczyć 23 pojazdy opancerzone oraz inny sprzęt wojskowy. Kijów, po kilku godzinach dociekań, potwierdził wiadomość, prezydent Poroszenko rozmawiał o tej sprawie z brytyjskim premierem Davidem Cameronem, NATO i OBWE również informowały o sforsowaniu granicy przez rosyjskie pojazdy. Francuski prezydent François Hollande apelował o poszanowanie integralności Ukrainy. Informacja wygląda więc na prawdziwą. Ukraińskie wojsko miało stoczyć walkę, w której zniszczono wiele rosyjskich pojazdów. Ale i tu informacje zaczęły być rozbieżne. A Aleksander Zacharczenko, szef tzw. Donieckiej Republiki Ludowej, wspomina o 30 czołgach, 12 transporterach i 1200 wyszkolonych w Rosji żołnierzach, których przysłała Moskwa, by wsparli separatystów. Jakby na dowód terrorystom udało się znów zestrzelić trzy ukraińskie samoloty, dwa Su-25 oraz Miga-29. Kijów potwierdza zestrzelenie, ale tylko jednego samolotu. Pewne jest, że musieli dysponować odpowiednim uzbrojeniem. Mogła je dostarczyć tylko Rosja. Szef MSZ Ukrainy Pawło Klimkin pierwszy raz tak otwarcie zaapelował do UE i NATO o pomoc wojskową.

Wszelkie próby dialogu z separatystami i negocjacje o zawieszeniu broni okazują się porażką. Czy Moskwa zamierza nadal wspierać rebelię na wschodzie Ukrainy wyłącznie po to, żeby destabilizować politykę i gospodarkę – i tym samym dowodzić, że Kijów nie panuje nad swoim terytorium, a Ukraina jest państwem słabym, pogrążonym w chaosie? Czy rosyjskie wojsko wkroczy, gdy zwycięstwo sił rządowych będzie bliskie? Na razie chodzi o utrzymywanie stanu niepewności. Trudno tę grę Rosji jednoznacznie zrozumieć – i o to chodzi. Ale z pewnością staje się coraz groźniejsza.

Korsykanie łagodnieją

Francja pozostaje na czele listy najczęściej odwiedzanych przez turystów krajów świata, a regionem, który najwięcej z turystyki korzysta, jest Korsyka. Pieniądze turystów dają wyspie prawie jedną trzecią całego dochodu. Korsyka dzierży także inny rekord: ma największą w Europie liczbę zabójstw w proporcji do liczącej 320 tys. ludności wyspy: w latach 2007–13 dokonano ich tam 105, z czego jedynie kilkanaście zakończyło się wykreśleniem i skazaniem sprawców. Na początku tegorocznych wakacji nielegalny **Front Wyzwolenia Narodowego Korsyki** (FLNC) ogłosił, że – wzorem Irlandczyków i Basków – rezygnuje z walki zbrojnej, gdyż wiele jego postulatów stało się tematami debaty publicznej. FLNC przyjął z zadowoleniem zwłaszcza decyzję zgromadzenia regionalnego, by wprowadzić status rezydenta



© AFP/EAST NEWS

Korsyki. Jedynie rezydent, który zamieszkuje wyspę od co najmniej 5 lat, będzie mógł nabyć tu dom czy parcelę. Prawnicy mają wątpliwości, czy takie ograniczenie jest zgodne z konstytucją, ale FLNC i tak zapowiada stopniowe wychodzenie z podziemia i przekształcanie się w partię polityczną,

pokoju domagając się niepodległości. Od 1976 r. – pierwszej fali zamachów bombowych – przypisuje się separatystom około 10 tys. ataków, polegających głównie na burzeniu domów. Zginęło kilkadziesiąt osób, najgroźniejsze było zabójstwo prefekta wyspy 16 lat temu.



© BMW

Samo pojedzie

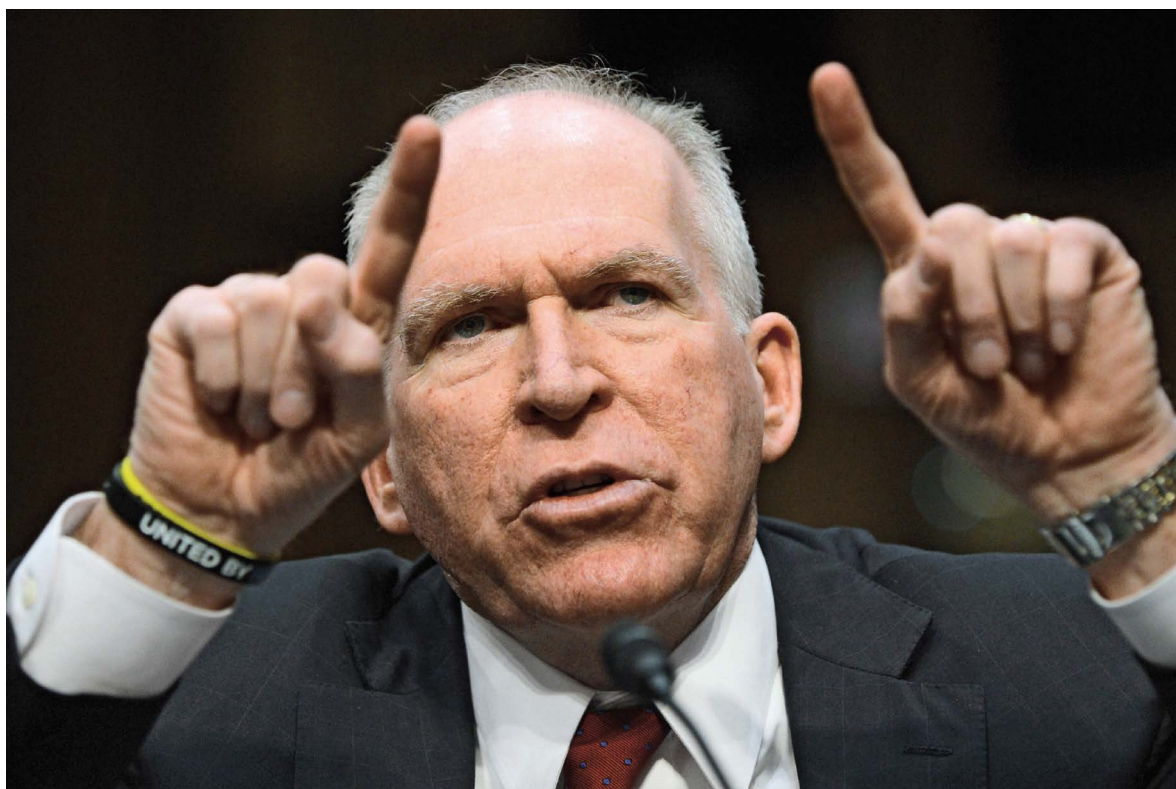
Nadjeżdżają auta bez kierowców. Od początku przyszłego roku pojawią się na brytyjskich drogach. Nie będzie ich wiele, bo rozwiązaniom pozwalającym samochodom faktycznie jechać samodzielnie daleko do doskonałości. Niezbędna jest zmiana przepisów, by inżynierowie, wcześniej skazani na tory wyścigowe i prywatne drogi, mogli sprawdzić swoje projekty w rzeczywistym ruchu drogowym, tak jak to się dzieje w niektórych stanach USA. Stworzenie technologii podobnej do lotniczych autopilotów będzie zadaniem na lata. W powietrzu przeszkód jest mniej niż na ziemi, więc auta do skręcania, przyspieszania i hamowania potrzebują mnóstwa zgranych ze sobą czujników, kamer, radarów i wsparcia satelitów. Jest dobra wiadomość dla tych, którzy obawiają się nudy za kółkiem. Otóż jeszcze długo nie uda się wyeliminować kierowcy w tych pojazdach, które miałyby się szybko poruszać. W nich kierowca w każdej chwili będzie mógł zrezygnować z usług komputera i odzyskać kontrolę nad jazdą. Mimo tych komplikacji najbardziej ambitni z branży motoryzacyjnej i informatycznej (w grę są m.in. BMW, General Motors, Google, Mercedes, Nissan, Toyota i Volvo) napomykają, że pojazdy takie mogą wejść do masowej produkcji już w 2020 r.

Deng w 48 odcinkach

Może to jeszcze nie jest chińska wersja „House of Cards”, ale mocno pachnie Hollywoodem – tak internauci przyjęli premierę serialu **„Deng Xiaoping na rozdrożach historii”**, w 110 rocznicę urodzin polityka, który przez dwie dekady był faktycznym przywódcą Chin. To najważniejsze tegoroczne wydarzenie w państwowej telewizji, prace nad 48 odcinkami trwały trzy lata, a teraz towarzyszy im przesłanie, że to w Dengu (autorze hasła „nie ważne, czy kot jest czarny czy biały, ważne, żeby umiał łapać myszy”) obecny przywódca Xi Jinping widzi ojca i prekursora swoich reform. Serial wyznacza nowe normy otwartości, pojawia się tam kilku publicznie zapomnianych przywódców, jak choćby Hu Yaobang, dużo śmielszy niż Deng w reformowaniu i usunięty z kierownictwa. Ale też bez przesady: serial wybiera stosunkowo bezpieczne lata 1976–84, aby z jednej strony nie musieć pokazywać okropieństw rewolucji kulturalnej, której Deng dwukrotnie stawał się ofiarą, ani krwawo stłumionego protestu studentów na Tiananmen w 1989 r. (Deng zmarł w 1997 r.). Wydarzenia po 1984 r. są za trudne do przedstawienia w serialu – wyznał szczerze scenarzysta Long Pingping agencji Xinhua. W Syczuanie, skąd pochodzi Deng i gdzie rośnie jego kult, zobowiązano członków partii do obejrzenia serialu i urzędzenia dyskusji na temat jego przesłania, z podobnym apelem zwrócono się do szkół. Z pewnością zostanie wysłuchany.



© CCTV



Człowiek od tortur

Obama ma wiele powodów, aby pozbyć się szefa CIA **Johna Brennana**. Nie przewidział aneksji Krymu ani rozpadu Iraku. Ale prezydent straciłby pewność, że jego tajemnice pozostaną tajemnicami.

TOMASZ ZALEWSKI

Najpierw miał się ukazać do końca lipca, potem w pierwszym tygodniu sierpnia i już ostatecznie przed kongresowymi wakacjami, czyli do 15 sierpnia. W poniedziałek wciąż leżał jednak w sejfach komisji ds. wywiadu Kongresu USA. Chodzi o raport z dochodzenia tej komisji na temat kontrowersyjnych metod CIA ścigania podejrzanych o terroryzm: przewożenie ich do krajów sojuszników i przesłuchiwanie tam w tajnych więzieniach (*black sites*) z zastosowaniem tortur.

Jedno z takich więzień istniało w Kijutach na Mazurach i podtapiano tam m.in. dwóch ludzi Al-Kaidy, którzy w lipcu wygrali proces z Polską przed Europejskim Trybunałem Praw Człowieka. Autorzy amerykańskiego raportu orzekli, że w *black sites*, które poza Polską działały jeszcze w Rumunii, na Litwie i w Tajlandii, więźniów traktowano nawet gorzej, niż sądzono na podstawie fragmentarycznych medialnych doniesień,

a co najważniejsze – że brutalne przesłuchania nie dostarczyły śledczym „informacji, które uratowały życie”, czyli będących w stanie zapobiec tragicznym w skutkach zamachom terrorystycznym.

Raport jest gotowy, ale jego publikację opóźnia spór Kongresu z szefem CIA Johnem Brennanem o to, co dokładnie można w nim ujawnić. Brennan domaga się wykreślenia z końcowego dokumentu najważniejszych danych, co zupełnie stępi jego wymowę. Co gorsza, na wiosnę okazało się, że agencja włamała się do komputerów używanych przez personel komisji, śledząc jego e-maile na temat raportu. Kiedy senatorowie zaprotestowali, szef CIA zaprzeczył, jakoby jego podwładni szpiegowali senatorów – aby po kilku tygodniach przyznać, że minął się z prawdą.

Dyrektor przeprosił, ale burza już się zaczęła. Z Kongresu i mediów rozległy się żądania jego dymisji. Wyciągnięto najcięższe armaty, twierdząc, że chodzi o sprzeczną z konstytucją ingerencję rządu w pracę legislatury, nowe Watergate. Prezydent Barack Obama stanął jednak

murem za Brennanem. Niektórzy twierdzą, że nie miał wyboru.

Brennan nie przypomina standardowego dyrektora CIA, wywodzącego się z samej szpiegowskiej agencji – nieprzeniknionego, chłodnego, używającego prawniczo-urzędniczego języka biurokraty. Mówi z pasją jak polityk, który chce być rozumiany i lubiany. John Brennan budzi nawet sympatię, choćby za wyraźny wysiłek, by wyglądać na przyzwoitego faceta, chociaż jego zawód nie pozwala na niewinność.

Szef CIA nie pierwszy raz naraził się opinii publicznej. Już na początku 2009 r. był głównym kandydatem Obamy na stanowisko dyrektora agencji. Nominacja spotkała się jednak z ostrym sprzeciwem liberałów, którzy przypomnieli, że za prezydentury George'a W. Busha Brennan lojalnie popierał transfery podejrzanych o terroryzm do krajów, w których torturowanie więźniów jest na porządku dziennym oraz stosowane przez CIA „wzmocnione techniki prze-

słuchań”. Nominat sam wycofał swoją kandydaturę, ale Obama mianował go głównym doradcą ds. terroryzmu. Brennan dostał biuro w podziemiach Białego Domu i został – jak twierdzą wtajemniczeni – jednym z najbardziej wpływowych współpracowników prezydenta.

Jego zadaniem było przeformułowanie metod walki z terroryzmem islamskim zgodnie z polityką Obamy, który wygrał wybory jako anty-Bush. Nowy prezydent obiecywał zakończenie wojny w Iraku, decydującą rozprawę z Al-Kaidą w Afganistanie i Pakistanie, i zamknięcie więzienia dla terrorystów w bazie Guantanamo na Kubie. Przyznał, że Ameryka „torturowała niektórych ludzi” – czemu Bush konsekwentnie zaprzeczał – potępił „wzmocnione techniki przesłuchań” i zabronił ich używania.

Wkrótce jednak stało się jasne, że zmiany nie pójdą zbyt daleko. Guantanamo – gdzie przetrzymuje się bezterminowo i bez formalnych zarzutów ponad stu więźniów – wciąż działa. I wbrew apelom obrońców praw człowieka Obama odmówił karnego ścigania odpowiedzialnych za tortury, mówiąc, że „nie należy być świętoszkowatym” w ocenie tych, którzy się ich dopuszczali. Tę ostatnią decyzję podjął za sugestią Brennana, który argumentował, że osłabi to morale służb.

Przygotowany przez Brennana nowy plan rozprawy z dżihadystami był zgodny z następującą po ataku 9/11 militaryzacją CIA, która w miarę wycofywania wojsk z Iraku, a potem z Afganistanu, brała na siebie, wraz z wywiadem wojskowym, coraz większy ciężar walki z islamskim terroryzmem. Brennan stał się gorącym promotorem *signature strikes*, czyli ostrzeliwania z powietrza grup namierzonych przez CIA jako dżihadystów. Został też głównym architektem użycia przeciwko nim samolotów bezzałogowych.

Obie metody, dzięki precyzji najnowocześniejszej techniki, mają zapewniać, że uderzenia będą „chirurgiczne”, trafiając wyłącznie terrorystów. W praktyce okazuje się to utopią – jak na każdej wojnie, także od dronów i *signature strikes* giną niewinni cywile. Według organizacji obrony praw człowieka ofiarą dronów padło ponad 4 tys. osób, z czego większość niewinnie (rząd tę liczbę kwestionuje).

Zginęło także – i tu ekipa Obamy ma największy problem – co najmniej czworo obywateli USA, wśród nich zabity w 2011 r. w Jemenie radykalny duchowny muzułmański i mentor terrorystów Anwar al-Awlaki. Ofiarą tego samego ataku padł razem z nim zupełnie niewinny 16-letni syn al-Awlakiego. Jakim prawem zabija się obywateli amerykańskich bez

sądu i orzeczonego wyroku śmierci – za pytywali retorycznie krytycy rządu.

Tymczasem Brennan zapewnia, że służby prowadzące kampanię dronów starają się minimalizować „szkody uboczne”, jak Pentagon eufemistycznie nazywa ofiary cywilne. Daje też do zrozumienia, że operacje dronów mają pełne poparcie prezydenta. Mało tego – Obama, jak informują znawcy kulis Białego Domu, za każdym razem konsultował z Brennanem poszczególne akcje antyterrorystyczne i osobiście zatwierdzał cele ataku. Wyjaśniałoby to, dlaczego prezydent nie pozbywa się swego krytykowanego współpracownika. „Obama sam umieścił się w steru procesu określania, którego terrorystę należy zabić” – pisze „The Atlantic”, sugerując, że Brennan po prostu za dużo wie o odpowiedzialności prezydenta, aby ten mógł go zwolnić.

Kompetencje Brennana nie podlegają dyskusji – studiował m.in. na American University w Kairze, zna biegle arabski (co przed 9/11 w amerykańskich specusługach było ewenementem), a przez kilka lat kierował rezydenturą CIA w Arabii Saudyjskiej. W czasie ceremonii objęcia nowego stanowiska Brennan odmówił przysięgania na Biblię – wybrał konstytucję USA. Dla jego wrogów z prawicy było to potwierdzeniem pogłosek, że jest... muzułmaninem. Tę dziwną informację rozpowszechniają nisze media ultrasów.

Daje to pojęcie o skali nieufności, jaką żywią wobec niego także konserwatyści, którzy uważają, że dyrektor CIA jest zbyt miękki dla terrorystów. Opowiedział się w końcu za rezygnacją z *signature strikes*, wzywał do zamknięcia Guantanamo i popierał proces Chalida Szejka Muhammada, architekta ataków 9/11, przed normalnym sądem federalnym, a nie trybunałem wojskowym, gdzie obowiązują obniżone standardy udowodnienia winy.

Brennan postrzega swą rolę w kategoriach pragmatycznych, a nie czarno-białej walki dobra ze złem, jak dawni pretorianie Busha, według których w walce z islamskimi ekstremistami wszystko jest dozwolone. W rozmowach z mediami przywołuje teorię wojny sprawiedliwej, którą poznał jeszcze w katolickiej szkole średniej (jej autorem jest św. Augustyn) i o której dyskutuje – jak mówi – na naradach z Obamą, starając się znaleźć równowagę między skutecznością operacji antyterrorystycznych a użyciem do tego środków zgodnych z moralnością, prawem międzynarodowym i wartościami bliskimi Amerykanom.

Do dylematu między skutecznością a moralnością sprowadza się także najświeższy spór wokół raportu senackiej ko-

misji ds. wywiadu. Jej konkluzji: że tortury „nie działają”, przyklasnęła amerykańska lewica, obrońcy praw człowieka i libertarianie, podkreślając niegodziwość tych metod. Krytycy wskazują również na polityczne koszty tortur – radykalizują one muzułmanów i ułatwiają ekstremistom werbunek nowych dżihadystów, a także narażają na szwank stosunki z krajami, które przyjmują terrorystów do swoich kazamatów albo pozwalają CIA na zakładanie *black sites* u siebie.

Rzetelność raportu komisji jest jednak wątpliwa. Jak przypomniał w telewizji CBS były wicedyrektor CIA Michael Morell, jego autorzy nie rozmawiali wcale z głównymi architektami programu tajnych więzień i brutalnych przesłuchań i oparli się wyłącznie na dokumentach. Spór na tym tle doprowadził w łonie dwupartyjnej komisji do rozłamu – jej republikańscy członkowie odcięli się od oskarżającej CIA konkluzji i opracowali własny raport mniejszości. „Przeczytajcie państwo oba raporty” – apelował do widzów Morell.

– To nie jest „raport komisji”, tylko jednostronny, tendencyjny raport demokratów. Nie ulega kwestii, że dzięki programowi przesłuchań zapobiegliśmy nowym, fatalnym w skutkach, atakom terrorystycznym. W Europie krytykują CIA za nadużycia, ale korzystają skwapliwie z dostarczanych przez nią informacji – mówi z goryczą Michael Scheuer, były szef specjalnej grupy wywiadu, tropiącej w latach 90. bin Ladena. Weterani służb tacy jak on mają poczucie niezrozumienia, jeśli nie zdrady, ze strony krytyków, którym z pozycji salonowych obserwatorów wygodnie jest – jak uważają – potępiać tych, którzy wykonują za nich brudną robotę, zapewniają im bezpieczeństwo.

Jak wynika z sondaży, coraz więcej Amerykanów solidaryzuje się z takim stanowiskiem. O ile jeszcze w 2007 r. tylko 27 proc. uważało, że powinno się torturować terrorystów, jeśli można w ten sposób uzyskać informacje o potencjalnym ataku, o tyle w 2012 r. zgadzało się z takim poglądem już 41 proc. społeczeństwa. Niewykluczone, że nominacja w tymże roku na szefa CIA Brennana – „jastrzębia z sercem”, jak go nazwał amerykański „Newsweek” – ma jakiś związek z zastanawiającą zmianą klimatu w USA wokół walki z terroryzmem.

Przeciwników tortur słychać najbardziej, ale to dlatego, że ci, którzy gotowi są na nie przyzwolić, niechętnie zabierają na ten temat głos. Temat jest trudny i wstydlivy. Ameryka jest w tej sprawie podzielona. I jeżeli słusznie oczekujemy z jej strony gestu w związku z Kijutami, warto pamiętać, że z perspektywy Wuja Sama to tylko detal. ■